

## Punk's not dead

Nie bez powodu jego biografia nosi tytuł *ADHD* – w muzycznym świecie chyba tylko Mike Patton uczestniczył w równie pokaźnej liczbie projektów. Jednak Tymon Tymański nie ogranicza się wyłącznie do bycia kompozytorem. Był członkiem TOTART-u, a i działalność na polu filmu nie była mu obca. Teraz, wraz z premierą *Polskiego gówna*, jego związek z kinem został przypieczętowany na dobre. Z Ryszardem „Tymonem” Tymańskim rozmawia ROBERT SKOWROŃSKI.

**Robert Skowroński:** *Polskie gówno* powstawało przez wiele lat, a jego założeniem było rozliczenie się z polskim przemysłem rozrywkowym. Koncepcja stopniowo ewoluowała, a wasza krytyka dotyka teraz całego społeczeństwa. Czy jednak zjawiska, którym się przeciwstawiacie, zmieniły się przez lata? Czy film jest dziś równie aktualny jak siedem lat temu, kiedy miał powstać?

Ryszard „Tymon” Tymański: Scenariusz zmieniał się razem ze społeczeństwem i wraz z nastrojami społeczno-obyczajowymi w naszym kraju. Cały czas śledziliśmy otaczającą nas rzeczywistość, więc nie mam poczucia, że film jest anachroniczny. Pewne układy zawsze pozostaną takie same, bez względu na wszelkie zachodzące zmiany w społeczeństwie. Mówimy o dość hermetycznej grupie muzyków punkowych, ale i tu dotykamy ogólnych prawd – chodzi o to, żeby się spełnić i zrealizować bez pójścia na łatwiznę w stronę komercji. Prawdziwy artysta wykluwa się przez lata, nie wystarczy tylko pójść do talent show, co zdają się sugerować dzisiejsze media. *Polskie gówno* traktuje tak naprawdę o formowaniu się pewnej postawy – nonkonformistycznej, takiej, która nie godzi się na kompromisy. Taka idea była dla mnie prawdziwa zarówno kiedyś, jak i dziś.

– **Atakujecie różne grupy – pelen przeszkód światek muzyczny, społeczeństwo trwoniące czas na oglądanie telewizyjnej szmiry, a nawet kler. Czy kontestacja ma tylko rację bytu, gdy nie godzi się na kompromisy?**

– Ciosy padają w różne strony, trochę na oślep. Zdenerwowany artysta zadaje je jak Don Kichot w walce z wiatrakami, wszystko jest jednak wzięte w nawias stylistyki filmowej. Są to ciosy, które tworzą pewien obraz Polski – złożonej, pogrążonej w obłudnym katolicyzmie czy rozkochanej w talk-show i talent show; kraju nieudacznego, gdzie wszystko się rozsypuje. Film jest zawsze wycinkiem rzeczywistości, takim, jaki twórca postrzega w danym okresie, to też rodzaj oczyszczenia z całego zdenerwowania, które gnieździ się w człowieku.

– **Wspominałeś kiedyś o inspiracji *Rokiem diabła* (2002) Petra Zelenki, gdzie przemieszczamy się między komedią, dramatem a nawet baśnią. Podobnie u was widz obserwuje gatunkową mieszankę, jak sam mówisz: „crossover gatunkowy”.**

– Film od początku powstawał w ramach dyskusji między mną a reżyserem, Grzegorzem Jankowskim. To od niego wyszedł pomysł na taką formę, jaką jest musical. Ja sam myślałem

o mockumencie, ale ostatecznie zauważyłem, że te dwie koncepcje można z sobą połączyć. Złamana forma, taka jak np. w *Walcu z Baszirem* (2008, A. Folman), który łączy w sobie różne gatunki filmowe, otwiera treść w zupełnie nowy sposób. Mając do czynienia ze standardowym dokumentem, bardzo szybko można się znużyć. Jednak to, co my proponujemy, gdzie nie jest pewne, co jest prawdą, co improwizacją, a co częścią napisanego scenariusza, pobudza do myślenia i wzbudza czujność widza.

– **Polskie gównno porównałbym do *Easy Ridera* (1969, D. Hopper) – w obu wypadkach jest to kino drogi, są elementy kina psychodelicznego, część scen była improwizowana, a i narkotyków nie brakowało na planie. Oba obrazy stanowią też krytykę pewnych postaw.**

– Wydaje mi się, że jednak bliżej nam do *Oto Spinal Tap* (1984) Roba Reinerja, *Leningrad Cowboys jadą do Ameryki* (1989) Akiego Kaurismäkiego, czy właśnie do *Roku diabła Zelenki*, które są filmami o muzykach. W *Polskim gównnie* groteska rodzi się z naszych własnych doświadczeń związanych z występami na scenie – zapłata w postaci słoików z ogórkami; jedyny widz, który w trakcie koncertu wychodzi do łazienki. To wszystko anegdoty, które wyciągnęliśmy z własnych życiorysów. Znajomi muzycy, którzy widzieli film, początkowo śmiali się podczas seansu, ale szybko mina im rzedła, bo widzieli na ekranie swoje życie.

– **Krytykujecie to, co się dzieje w świecie muzyków, a jak jest ze światem filmowców? PISF nie dofinansował waszej produkcji, a na Festiwalu Filmowym w Gdyni, gdzie film miał premierę, nie pokazano go w głównej sekcji konkursowej.**

– Jestem pełnym intruzem i gościem w świecie filmu, ale może to i dobrze, bo ze względu na pokaźniejsze pieniądze ilość syfu jest tam pewnie jeszcze większa niż w przemyśle muzycznym. Oczywiście, wyczuliśmy pewną dozę braku zaufania ze strony filmowców, ale przy okazji Festiwalu Filmowego w Gdyni poczuliśmy też odrobinę ciepła ze strony Michała Oleszczyka, dyrektora artystycznego imprezy. Nie był on jednak w stanie przebić się ze swoją sympatią do naszego filmu przez grono osób, któremu nie podobała się ta nowa energia, dlatego nie udało się wyświetlić obrazu w ramach konkursu głównego. Ja się tym jednak zupełnie nie przejmuję.

– **Wasz film, mimo że jest kontestatorski, i tak ma pozytywny wydźwięk. To historia chłopaków, którzy grają w zespole, mają swoje małe dramaty i jednocześnie realizują wielkie marzenia.**

– Nie chciałem być postrzeganym jako Sylwester Latkowski filmowej fabuły, nie zależało mi na tym, żeby tylko drażnić. Powstaje pytanie, co jest głównym motywem filmu: negacja czy afirmacja? Wpływ na to miał Wojtek Smarzowski jako opiekun artystyczny. Od początku twierdził, że element negatywny dotyczący show-biznesu powinien być odpowiednio wyważony w stosunku do opowieści o zespole, przyjaźni i lojalności. Rękę do tego przyłożyła też Agnieszka Glińska jako montażystka. Sądzę, że wychwyciła to, co najważniejsze, i umieściła to w finalnej wersji. Film jest może bardziej gorzki niż słodki, ale nie brak tu tego afirmującego pierwiastka.

**– Jaki był wpływ Wojciecha Smarzowskiego i Xawerego Żuławskiego, którzy pomagali przy filmie?**

– Wojtek bardzo nam pomógł przede wszystkim na etapie pisania scenariusza. Odbyłem z nim kilkumiesięczny kurs korespondencyjny, w trakcie którego wytłumaczył mi, jak poprawnie zapisywać pomysły na sceny. To najlepszy profesor, jakiego mogłem mieć. Na kolejnym etapie zobaczył zmontowane pierwsze pół godziny filmu. Można powiedzieć, że zdjęcia próbne były falstartem. Ujawniły one nasz brak przygotowania do tego dzieła. Wojtek powiedział, żebyśmy skrócili to, co już mamy, zasugerował też dodanie do tego brudu przez nakręcenie kilku sekwencji iPhone'em – w końcu miał to być film punkowy. Pojawiła się również Agnieszka Glińska, w której montażu jest mniej „nerwów” niż u Smarzowskiego, jej praca skupia się bardziej na emocjach bohaterów, czuć w tym kobiecą rękę. Xawery Żuławski poradził nam, żeby rozwinąć postać Stana Gudeyki, w którego wciela się Robert Brylewski.

**– Zatem ci twórcy dość mocno ingerowali w wasz film, ich pomysły tworzą ważne aspekty tego, co widzimy na ekranie.**

– Uznaliśmy, że przy debiucie warto być otwartym, pytaliśmy bardzo wiele osób o pomoc i o zdanie. Pokornie słuchaliśmy różnych uwag, a jeśli się pokrywały z naszym wyobrażeniem, to z nich korzystaliśmy. Myślę, że to dobry ruch, bo film nie ma być dla mnie, tylko dla widzów.

**– Sceny, w których Tranzystory grają na scenie, robią wrażenie swym montażem. Sekwencje te wyglądają jak sprawnie zrealizowany teledysk, pokazując w bliskich ujęciach pot na twarzach muzyków i pełną ekspresji grę na instrumentach.**

– Wspólnie z Tomkiem Madejskim, autorem zdjęć, naoglądaliśmy się starych footage'ów kapel punkowych, głównie Dead Kennedys. Stanowiło to dla nas dużą inspirację, chcieliśmy uzyskać podobny efekt. Następnie z tych surowych zdjęć Agnieszka Glińska tworzyła prawdziwe arcydzieło – obróbka materiału zajęła jej nieco ponad rok. To właśnie wspomniany duet oraz ja i Grzegorz Jankowski tworzyliśmy zespół, który miał największy wpływ na powstały film. Przez te wszystkie lata przetrwaliśmy wiele konfliktów między sobą, walczyliśmy jednak nie o przeforsowanie swoich poglądów, tylko o prawdę. Trzeba też oczywiście pamiętać, że bez reszty ekipy nie doprowadzilibyśmy całego projektu do końca.

**– Często używasz sformułowania „my” i przypisujesz zasługi innym ludziom, ale to ty jesteś producentem filmu, napisałeś scenariusz i znaczną część muzyki oraz tekstów. Reżyserem jest jednak Grzegorz Jankowski. Czy nie było trochę tak, że był on narzędziem w twoich rękach?**

– Nieraz ingerował w scenariusz i miał ogromny wpływ na wiele aspektów filmu. To żaden półreżyser schowany za kamerą i wykonujący moje polecenia. Jestem osobą głośniejszą od Jankowskiego, dlatego można odnieść wrażenie, że jestem wszechobecny, jednak to tylko złudzenie. On dał pomysł na musical, dbał o sceny paradokumentalne, niejednokrotnie sugerował też zerwanie z zapisanymi dialogami na rzecz improwizacji. Często było tak, że mieliśmy nakręcone dwie wersje danej sceny – moją i Grzeška. Nie oznaczało to nigdy, że to

właśnie moja koncepcja zostanie wybrana i uznana za tę najlepszą. Może to i ja byłem motorem napędowym filmu, ale każdy z nas miał w niego wkład.

– **Stan Gudeyko, którego gra Robert Brylewski, wydaje się swego rodzaju „punkowym bohaterem”. To za jego sprawą dowiadujemy się też o minionych czasach rządów generała Jaruzelskiego, czyli o okresie znienawidzonym przez PRL-owską scenę alternatywną.**

– Ta rola budowała się bardzo długo. Początkowo widziałem Stana jako połączenie samego Brylewskiego z legendarnym Walkiem Dzedzejem, pierwszym polskim punkowcem, który występował na ulicach Warszawy w latach 70. W międzyczasie przeczytałem książkę mojego znajomego – totartowca Pawła „Konia” Konnaka, pod tytułem *Gangrena. Mój punk rock song / Nikt nie odda się za zupę*. Po lekturze przypomniałem sobie o czasie stanu wojennego i moich starszych kolegach z kapel Kryzys i Izrael, czyli o Robercie Brylewskim i Tomku Lipińskim, którym żyło się bardzo niepewnie w tym okresie. Ja miałem wtedy jakieś 15 lat i te represje nie dotknęły mnie tak jak ich. Doszedłem do wniosku, że postać Gudeyki nie może być czysto humorystyczna, w nim powinien rodzić się protest. Zauważył on, że czasy, kiedy nie było wolności, zamieniły się na takie, gdzie brak jest radości i liczy się tylko walka o pieniądze. Jest w tej postaci oczywiście też coś ze mnie, to trochę mój osobisty manifest, ale Robert chyba się pod nim podpisuje, gdyż pod koniec zdjęć utożsamił się z granym przez siebie Gudeyką i to on zaproponował, jak powinien wyglądać finał filmu.

– **Nie ma zbyt wielu filmów o polskim punk rocku, który przecież stanowi dość istotny element rodzimej historii muzyki współczesnej. Owszem, mamy parę dokumentów o Jarocinie, czy takie tytuły jak *Beats of Freedom – Zew wolności* (2010, L. Gnoiński, W. Słota), ale chyba dopiero wasz obraz stanowi pewien przełom. Dzieło ludzi, którzy przy tym byli i nadal w tym tkwią. Z filmu bije szczerść, a to też jedna z podstaw punkowego ruchu.**

– Na początku myślałem o filmie bardziej w kategoriach żartu, Tranzystory też miały grać weselszą muzykę. Zauważyłem jednak, że zespół musi być poważny, poważny jest punk rock. Ta muzyka to przecież policzek wymierzony społeczeństwu. Każdy z nas na pewnym etapie życia był punkowcem – taka postawa jest może nieco śmieszna, ale też pełna dramatyzmu. *Polskie gówno* to frustracja nas wszystkich. Wierzymy jednak, że jest sens grania muzyki offowej, bardziej twórczej, tworzenia trudniejszej sztuki w imię jej jakości.